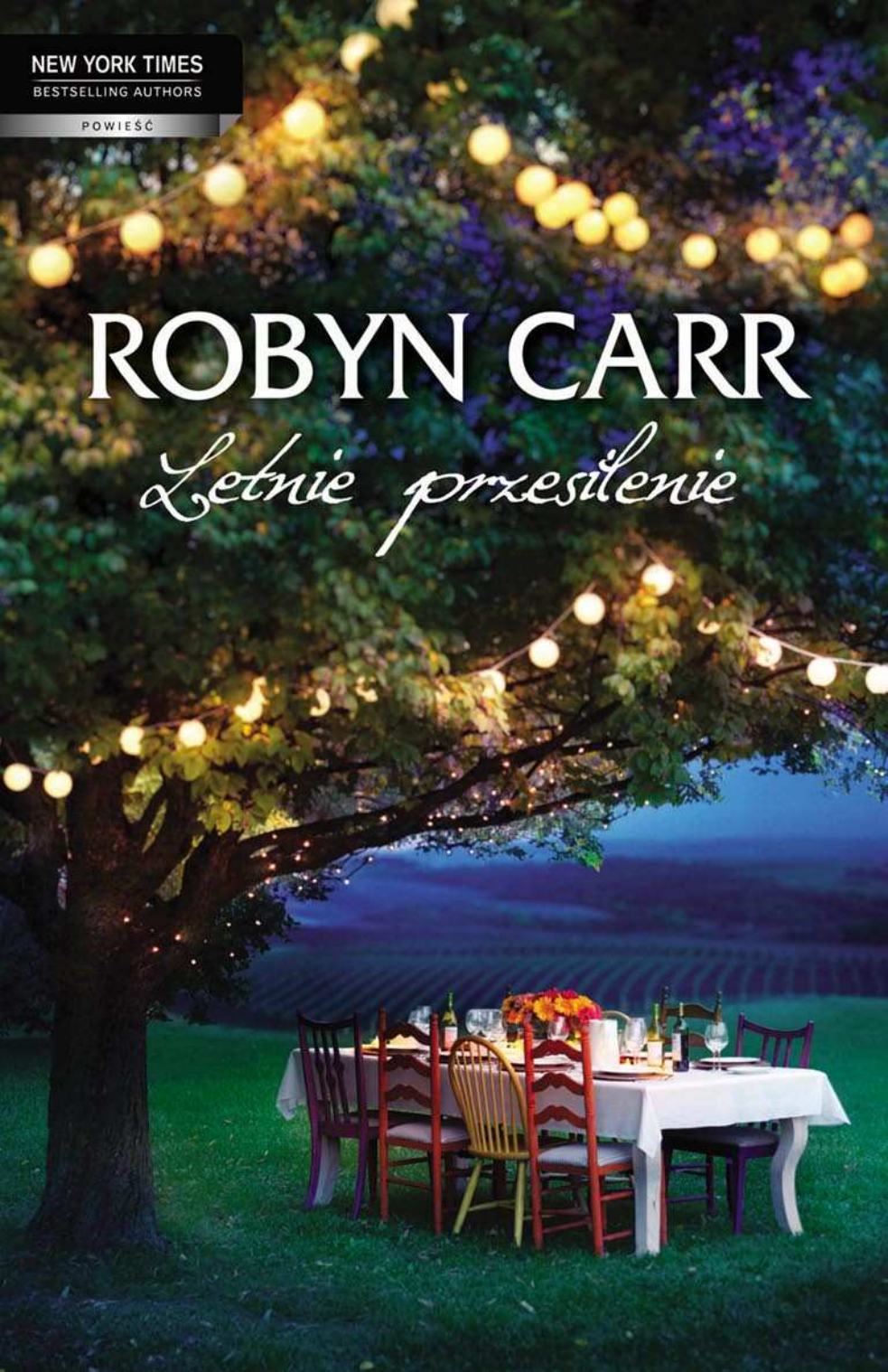


NEW YORK TIMES  
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

ROBYN CARR

*Letnie przesilenie*



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Czytelnia Online](#).

ROBYN CARR

*Letnie przesilenie*

Przełożyła  
Anna Bieńkowska



Tytuł oryginału:  
*A Summer in Sonoma*

Pierwsze wydanie:  
*MIRA Books, 2010*

Redaktor prowadzący:  
*Grażyna Ordęga*

Opracowanie redakcyjne:  
*Władysław Ordęga*

Korekta:  
*Ewa Popławska, Władysław Ordęga*

© 2010 by Robyn Carr  
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin  
Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji  
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane  
w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych  
– żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeX<sup>®</sup>, Warszawa

ISBN 978-83-238-8231-2

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

O wpół do ósmej Cassie i Ken wyszli z baru. Był czerwcowy wieczór, zmrok zapadał szybko. Ken zaborczo przygarnął Cassie i pocałował żarliwie.

Och, co za pocałunek! – zdążyła pomyśleć, nim poczuła dłonie Kena zmierzające do jej piersi. Wtedy odepchnęła go.

– Hej, koleś, nie tak szybko! – Roześmiała się nerwowo.  
– Nie sądzisz, że trochę przesadziłeś?

– Przepraszam. Przyglądałem ci się i pomyślałem... no, sama wiesz...

– No to już nie myśl. Sprawdziłeś, że jestem kobietą i stop. To jak z naszymi planami? Mieliśmy iść na koncert do parku.

– Mhm, koncert... – Też się roześmiał. – Przepraszam.  
– Poprowadził ją do swego samochodu.

– Kobietom nie przeszkadza, że facetom chodzą po głowie różne zuchwale pomysły, ale od pomysłu do... Cóż, zakładałam, że znasz umiar.

– Oczywiście, Cassie.

– To dobrze. Bo dla mnie to za szybkie tempo.

Samochód Kena stał w najdalszym kącie parkingu. Czyli przejmuję się swoim autem, uznała. Woli nie ryzykować, że ktoś mu zadrapie karoserię.

Gdy wsiedli do środka, Ken włączył silnik, jednak nie wrzucił biegu, tylko pochylił się ku Cassie i zaczął delikatnie gładzić ją po ramieniu. Tak naprawdę wymuszał na niej buziaka, ale przynajmniej nie robił tego na siłę, dawał jej czas. Musnęła jego usta. Odpowiedział tym samym, lecz gdy cofnęła się, nie kryjąc zdenerwowania i bez słów mówiąc „stop!”, mocniej chwycił jej ramię.

– Cassie – wyszeptał gorączkowo. – Może zmienimy plany? Darujmy sobie ten koncert...

– Nie. Nastawiłam się na słuchanie muzyki. – Serce zabiło jej szybciej. Taki rozwój wypadków coraz bardziej ją niepokoił.

– Proszę, Cassie. Może jednak? Naprawdę nie pożałujesz, zobaczysz...

Po pracy w kilka osób poszli na drinka i właśnie wtedy poznała Kena. Świetnie im się gadało. Ona była pielęgniarką na ostrym dyżurze, on ratownikiem medycznym w straży pożarnej. Dotąd się z nim nie zetknęła, lecz często współpracowała ze strażakami i miała o nich jak najlepsze zdanie. Ken był uprzejmy i otwarty na innych, dlatego zrobił na niej dobre wrażenie. Przystojniak z poczuciem humoru. Nie działała na oślep, była ostrożna. Ken zachował się jak dżentelmen, odprowadził ją do samochodu, a na pożegnanie lekko uścisnął. Dopiero wtedy dała mu swój telefon i powiedziała, że mogą spotkać się na kawie. Odbyli kilka rozmów, poznali się lepiej. Wreszcie przystała na ten koncert. Nie chciała, by Ken po nią przyjeżdżał, dlatego umówili się w barze, bo w tłumie amatorów muzyki trudno byłoby się znaleźć.

Była pewna, że ma do czynienia z dżentelmenem, ale Ken bardzo ją zaskoczył. Musi go szybko przywołać do

porządku. Owszem, facet jej się spodobał, ale to jeszcze nie znaczy, że jest gotowa na coś więcej.

– Nie mam się nad czym zastanawiać. – Trzymała rozpostarte dłonie na jego piersi, odpychała. – Chcę iść na koncert. Jest piękny wieczór. Na to, co tobie chodzi po głowie, parking nie jest odpowiednim miejscem...

Ken brutalnie odepchnął ręce Cassie i przypiął się do jej ust. Walczyła, odpierała atak, wydając zdławione odgłosy, on zaś, ku jej zdumieniu, przemieszczał się na jej stronę. Choć był wysoki, poszło mu to nadzwyczaj sprawnie. Już był nad nią!

– Hej! – wykrzyknęła, gdy odsunął na moment usta. – Co ty wyrabiasz? – Gorączkowo oceniała sytuację. Obok stało kilka samochodów, ale to był najdalszy kraniec parkingu, a przez przyciemnione okna niewiele było widać. Jak to możliwe? Taki porządny facet! Ratownik! Jak mąż jej najlepszej przyjaciółki! Znała wielu ratowników, wszyscy porządni, uczciwi, wyjątkowi ludzie!

Wcisnął ją w fotel, brutalnie wpijając się w usta. Odpiął jej pas. Próbowwała się opierać, lecz protesty na nic się nie zdawały. Szarpała się, rozpaczliwie szukając wyjścia z tej nieprawdopodobnej sytuacji. Czyżby Ken zamierzał ją zgwałcić na przednim siedzeniu terenówki?! Była w szortach, więc nie pójdzie mu z nią łatwo!

Nagle poczuła, że fotel powoli się opuszcza. Ken wiedział, że gdy będzie leżała, łatwiej zderze z niej ubranie. Jeśli mu się uda, a na jej ciele nie zostawi sińców czy zadrapań, będzie twierdzić, że do niczego jej nie zmuszał. W pracy była świadkiem wielu takich historii. Ofiary gwałtów składały wyczerpujące relacje, zaś spisujący je policjant często nie ukrywał sceptycyzmu. O Boże! Na dowód swych słów musi mieć na sobie ślady przemocy! Zaczęła kopać, odpychać Kena, szarpać się na wszystkie strony.

– Przestań! – zareagował ostro. – Wystarczy, uspokój się. Oboje dobrze wiemy, czego chcemy!

– Odejdź ode mnie, łajdaku!

– Och, Cassie... – Roześmiał się, jakby ta obelga wydała mu się czułym słówkiem. – Chodź, kotku. Ależ ty mnie kręcisz!

– Oszalałeś! Puść mnie! Spadaj! I to już!

– Spokojnie, opamiętaj się, wyluzuj...

– Nie! – wydarła się na cały głos. Wiedziała, że musi walczyć do upadłego i narobić jak najwięcej hałasu. Pchnęła go, a drugą ręką próbowała odnaleźć klamkę. Nie udało się, więc z całej siły walnęła w szybę, mając nadzieję, że ją roztrzaska. Wywijała się przy tym przed pocałunkami Kena, wrzeszcząc, ile sił w płucach. Spróbowała uderzyć go głową, lecz Ken złapał ją mocno za barki i roześmiał się, rad z takiego obrotu sprawy. Cassie wciąż szarpała się tak gwałtownie, że samochód się rozkołysał. Ken chciał złapać ją za nadgarstek, ale była szybsza i rąbnęła go w oko. Zawył z bólu, lecz nie uderzył jej. Cassie nie przestawała rozpaczliwie walić w szybę i krzyczeć. Jeśli nie wyskoczy z samochodu, Ken wreszcie wygra, a potem gdzieś ją wywiezie i będzie mógł z nią zrobić wszystko!

Naraz ktoś załomotał w szybę.

– Hej! – rozległ się głęboki męski głos. – Hej!

– O Boże! – Wstąpiła w nią nadzieja. – Na pomoc!  
– zawołała. – Na po... – Nie dokończyła, bo Ken zasłonił jej usta.

Odrobinę opuścił szybę.

– Daj sobie spokój, stary. Jesteśmy zajęci! – Podniósł szybę. Cassie z całej siły ugryzła go w rękę. Ken skoczył tak raptownie, że huknął głową w sufit.

Słyszała, że stojący na zewnątrz mężczyzna próbuje otworzyć drzwi. Po chwili rozległo się głucho uderzenie



w szybę. Hartowane szkło nie rozprysło się, tylko popękało, przez co wyglądało jak pokryte pajęczyną. Jedyne w miejscu uderzenia był niewielki otwór. Patrzyła, jak jakiś ostry przedmiot, chyba klucz, zaczyna go rozwiercać. Okruchy posypały się do środka. Ken przesunął się na swoje miejsce.

– Człowieku, czyś ty zwariował? – wykrzyknął ze złością.

W otworze pojawiła się masywna dłoń, która błyskawicznie odblokowała zamek i otworzyła drzwi. Cassie wypadła na zewnątrz, popatrzyła na swego wybawcę... i aż się zachłysnęła. O Boże! Kogo bardziej powinna się bać? Przed nią stał olbrzym w białym obcisłym podkoszulku i kamizelce z czarnej skóry ozdobionej łańcuchami. Na przedramieniu miał wytatuowaną nagą kobietę. Do tego długie baczki i podkreścone do góry wąsy, włosy związane w kucyk.

Pomógł jej wstać, po czym spytał złowrogim tonem:

– Coś ci zrobił? – Jego mina też nie wróżyła niczego dobrego.

Cassie zadarła głowę. Miała metr sześćdziesiąt pięć, a on górował nad nią co najmniej o trzydzieści centymetrów.

– Nie – wykrztusiła. – Tak. To znaczy nie. On... – Nie mogła dokończyć.

Odciągnął ją dalej i obrócił, stając między nią a samochodem.

– Wezwać policję? Może zadzwonić do szpitala? – Wyciągnął komórkę.

– Nie... Zjawileś się w samą... w samą porę... – Rozszlochała się gwałtownie. – O Boże!

– Więc może zadzwonić po kogoś? – zapytał łagodnie. Samochód Kena ruszył z piskiem opon.

– Moja torebka... – jęknęła Cassie.

Tuż przed wyjazdem z parkingu Ken zwolnił i coś

wyrzucił przez rozbite okno, po czym samochód przyspieszył i zniknął w dali.

– Poczekaj. – Olbrzym przeszedł przez parking, pozbiierał rozsypane rzeczy i wrócił do Cassie. – Proszę. – Podał jej torebkę.

Popatrzyła na swego obrońcę. Fanatyk motoru. Jego wygląd naprawdę mógł wystraszyć. Anioł Piekiel czy coś w tym stylu. Ale to odpicowany Ken okazał się draniem.

– Boże – wyszeptwała. – Naprawdę się tego nie spodziewałam. Gdybyś nie...

– Na pewno nie chcesz powiadomić policji? Zapamiętałem jego numer.

– Nic mi nie zrobił... tylko śmiertelnie przestraszył. Naprawdę nic nie zapowiadało, że tak to się może potoczyć.

– Wyglądało raczej kiepsko.

– I tak było. Gdyby ten drań... – Przerwała gwałtownie. Nie mogła zmusić się, by to powiedzieć.

– Już dobrze, wyluzuj. Na pewno nic ci nie jest?

Drżącymi dłońmi szukała w torebce kluczy.

– Na pewno... – Pociągnęła nosem. – Zaraz się pobieram.

– Może odprowadzić cię do domu? Upewnić się, czy nic ci nie grozi?

Roześmiała się przez łzy. Tylko tego brakuje, by ten wielki facet dowiedział się, gdzie mieszkam! – pomyślała. Bez sensu... W ogóle wszystko wydawało się jej bez sensu.

– Nie pojedę do domu, tylko do przyjaciółki. Ma owczarka niemieckiego i wysportowanego, silnego męża.

– Może jednak zadzwonię na policję?

– Ona ma też trójkę dzieci – dodała Cassie.

– No tak, to mnie przekonuje. – Roześmiał się tubalnie.

– Każdy będzie trzymał się z daleka.

Cassie też się roześmiała, lecz zaraz zalała się łzami. Rozszlochana upuściła torebkę i oparła się o swego wybawcę.

– Już dobrze, maleńka – mówił uspokajająco. – Wiesz, postawię ci kawę, żebyś trochę ochłonęła przed jazdą.

– Wcale nie... nic nie piłam – wykrztusiła, gdy już odrobinę się opanowała.

– Nie o to mi chodziło. – Podniósł torebkę Cassie, a potem opiekuńczo otoczył ją mocnym ramieniem i poprowadził w stronę baru.

– A jeśli on tu wróci?

– Nie wróci, bo jest tchórzem. Uwierz, nic ci nie grozi. Pójdziemy na kawę, uspokoisz się, a potem pojedziesz do koleżanki. Patrz, jesteśmy już przed barem. Zgoda?

– Naprawdę nie wiem, co robić. – Otarła łzy.

– Ale ja wiem. Napijemy się kawy.

Po chwili siedziała w narożnej łoży, wpatrując się w filiżankę. Na wprost niej siedział wielki motocyklista i też popijał kawę. Nie miała siły unieść głowy. Czuła się wykończona, jak przepuszczona przez maszynkę. Jeszcze nie ochłonęła z przerażenia, choć już nie miała się czego bać. Ta świadomość sprawiała jej ulgę. Wreszcie się pozbierała i popatrzyła w niewiarygodnie niebieskie oczy swego obrońcy.

– Boże, tak mi wstyd – przyznała smętnie.

– Nie masz powodu. Nie ty go zaatakowałaś, więc to on powinien się wstydić, choć pewnie sumienie go nie ruszyło. Ale na pewno się boi.

– Ciebie?

– To też, ale jeszcze nie jest za późno, by wezwać policję. Mój młodszy brat jest gliną. Teraz nie ma służby, ale i tak możemy zadzwonić. Coś nam poradzi. – Roześmiał się. – Z całej naszej bandy był największym rozrabiaką. Brat w brata łobuziak, ale on... I popatrz tylko,

właśnie on został gliniarzem. W dodatku od poważnych spraw. Jest świetny, nikt mu nie podskoczy. – Spojrzał na nią uważnie. – Słuchaj, dobrze znasz tego gościa?

– Jak widać nie. – Przetarła dłońmi twarz. – Poznaliśmy się w barze przez znajomych, później umówiliśmy się na kawę, sporo gadaliśmy przez telefon. Pracuje z ludźmi, których znam. Tak przynajmniej myślałam.

– To znaczy?

– Powiedział, że jest ratownikiem w straży pożarnej, jak mąż mojej przyjaciółki. Znam wielu strażaków, wyglądało, że mamy wspólnych znajomych... Jezu, a jeśli kłamał?

– Tablica rejestracyjna nie kłamie.

– Skąd wiedziałeś, że potrzebuję pomocy?

– Pytasz poważnie czy żartujesz? Słyszałem twoje krzyki, samochód chodził na wszystkie strony. Poza tym byliście na przednim siedzeniu. Poszlibyście na tył, gdyby to był wspólny pomysł. Dobrze się więc stało, że postanowiłem sprawdzić.

– Czym wybiłeś okno? – Gdy podniósł rękę i popatrzył na spuchnięte, zakrwawione kłykcie, szepnęła: – A niech to... Jak się czujesz?

– W porządku. Nic mi nie będzie. – Uśmiechnął się.

– Może będzie mnie ścigał za wyrządzone straty? Bardzo bym chciał. Aha, jestem Walt. Walt Arneson.

– Cassie. – Na moment przyknęła oczy. – Pewnie myślisz, że jestem skończoną idiotką.

– Niby dlaczego?

– Wydawało mi się, że jestem ostrożna. Wprawdzie nie zatrudniłam detektywa, by przeświecił tego typka, ale spotkałam się z nim kilka razy na neutralnym gruncie, przegadaliśmy mnóstwo czasu i nie tknęło mnie, że może być taki. Zgodziłam się z nim spotkać. I dałam się pocałować.

– Cassie, spokojnie. To nic takiego. Czasami nie da się z góry przewidzieć...

– To co powinno się zrobić? – spytała bardziej siebie niż Walta. – Zdarzało mi się spotykać z różnymi facetami, ale nigdy nie trafiłam na takiego.

– Ponoć najczęściej sprawcą napaści jest osoba znana ofierze.

– Napaść... Tak, to właściwe określenie.

– Jasne, że tak... Zaraz, a on wie, gdzie mieszkasz?

– Nie dałam mu adresu, ale zna moje nazwisko, wie, gdzie pracuję i mniej więcej orientuje się, w jakiej okolicy mieszkam...

Walt podał Cassie wizytówkę. Przebiegła ją wzrokiem. Salon motocyklowy.

– Gdybyś potrzebowała świadka, koniecznie zadzwoń. Z radością bym mu coś jeszcze uszkodził.

– Pracujesz w branży motocyklowej? Naprawiasz harleye i hondy?

– Mhm. Nie tylko motory, ale to moja specjalność.

– Ilu mechaników ma służbowe wizytówki?

– Pewnie więcej niż przypuszczasz. Motocykle to wielki biznes. Ludzie są bardzo czuli na punkcie swoich maszyn.

– A ty się na nich znasz.

– Od małego mam bzika na ich punkcie. To już jakieś szesnaście lat, może więcej. – Zmarszczył brwi, patrząc na dłoń, w której trzymała filiżankę. – Coś sobie zrobiłaś.

Odstawiła kawę, popatrzyła na swoją rękę. Jedna z kostek była sina i spuchnięta.

– Rąbnęłam go w twarz. – Uśmiechnęła się ni to chwacko, ni to niepewnie. – Celowałam w oko. I trafiłam.

– Świetnie! Na pewno zabolalo! – Wyraźnie się ucieszył.

– Słuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko, to już bym się ulotniła.

– Nie ma sprawy. – Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął portfel.

- Ja zapłacę, proszę – powiedziała, grzebiąc w torebce.
- Przynajmniej to mogę...
- To już załatwione. Odprowadzę cię do samochodu.
- Hm, nie obraż się, ale wolałabym pójść sama.
- Jasne – powiedział łagodnie. – Znam właściciela baru. Mogę poprosić, by ktoś z obsługi poszedł z tobą na parking. Poczuliaby się bezpieczniej.
- Nie, naprawdę nie. Dzięki za wszystko. – Wyślizgnęła się z łóży.
- Cassie, dałem ci moją wizytówkę, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie i powiadomiła policję. Albo gdyby on zaczął ci robić jakieś problemy.
- Tak... i dziękuję. I przepraszam, ale...
- Rozumiem, nie ma sprawy. Bądź ostrożna.
- Z mizernym uśmiechem wyszła z baru. Na zewnątrz było ciemno i ani żywej duszy. Ledwie zrobiła kilka kroków, ogarnęła ją panika. Szybko wróciła do Walta.
- Przepraszam, ale czy mógłbyś jednak mnie odprowadzić? Tam jest tak...
- Oczywiście. Z przyjemnością. Masz komórkę?
- Tak.
- Nic się nie martw, będzie dobrze. – Wziął ją pod ramię i wyszli z baru. – Zablokuj drzwi, miej pod ręką komórkę i spoglądaj w tylne lusterko. Ale gwarantuję, że on da ci spokój. Przecież zostawił cię ze mną. – Zaśmiał się. – Pamiętaj, że znam jego numer.
- Nie zapisałeś go.
- XKY936, zielonkawoniebieski chevrolet tahoe. Dobrze ci zrobi, jeśli pojedziesz do przyjaciółki, wyżalisz się, pobędziesz z ludźmi, których dobrze znasz. Ten twój amoroso na pewno będzie udawał, że nic się nie stało. Jeśli zadzwoni czy do ciebie wpadnie, od razu alarmuj policję. I mnie. Wszystko im opowiem, ze szczegółami, koleś nie ma szans.

- Dzięki. Jesteś bardzo miły.
- Zrobiłabyś to samo. – Podeszli do samochodu.
- Wciąż jesteś roztrzęsiona, więc jedź ostrożnie.
- Tak. Dziękuję, Walt.

Pojechała do Julie, najbliższej przyjaciółki, z którą znały się od siódmej klasy. W wieku dziewiętnastu lat Julie wyszła za mąż i urodziła trójkę dzieci. Cassie miała dwadzieścia dziewięć i nadal była panną. Julie i Billy chodzili z sobą od pierwszej klasy liceum. Byli jak z obrazka: gwiazda drużyny futbolowej i gwiazda zespołu cheerleaderek. Po prostu idealna para. Ostatnio trochę darli z sobą koty, ale zawsze dochodzili do porozumienia. Nic dziwnego, że czasem zawodziły ich nerwy, bo trójka dzieci i pies potrafiły niezłe zająć za skórę.

Dałaby wiele, by mieć przy sobie kogoś takiego jak Billy. Nie wzdychała do niego, traktowała jak brata, a Julie była dla niej jak siostra. Mimo to...

Zza zamkniętych drzwi dobiegały hałasy. Było w pół do dziewiątej, więc Julie właśnie zapędzała dzieci do łóżek.

Nacisnęła dzwonek.

– Co tu robisz? – zdumiała się Julie. – Nie jesteś na randce?

– Mogę wejść?

– No jasne! Chyba cię nie wystawił, co?

– Gorzej, znacznie gorzej. – Weszła do przedpokoju. Już stąd widziała panujący w domu bałagan. Julie też wyglądała marnie. Jasne włosy przylizanymi pasmami opadały jej na oczy, nieumalowana, boso, w podkoszulku i szortach. Między kuchnią a bawialnią biegały rozebrane maluchy, za nimi gonił owczarek niemiecki i poszczekiwał wesoło.

– Cassie! – Radośnie rzuciły się do niej, łapiąc ją za nogi.

– Co się stało? – naciskała Julie.

– Napiję się wina, jeśli ci zostało. Potem wszystko opowiem. – Stłumiła szloch. – Wolalabym nie wracać do domu. Połóż dzieciaki, bo zdemolują dom. – Ucałowała maluchy.

– W lodówce jest butelka, którą niedawno przyniosłaś. Nie wyglądasz najlepiej. – Niestety Julie mogłaby to samo powiedzieć o sobie.

– Zaraz się pobieram.

Dzieci puściły ją i pobiegły za mamą. Cassie rzuciła torebkę na krzesło i ruszyła do kuchni, by zaraz gwałtownie zawrócić do drzwi i przekręcić zasuwkę.

Wyjęła kieliszek i nalała białego wina. Od jakiegoś czasu zwykle przynosiła z sobą butelkę, jako że Julie i Billy ledwie wiązali koniec z końcem i nie stać ich było nawet na tak drobne przyjemności jak trochę wina na koniec długiego, ciężkiego dnia. Billy miał dwie prace, a Julie prowadziła dom i wychowywała trójkę dzieci.

Cassie weszła do salonu, usiadła na kanapie, zrzuciła pantofle i wyciągnęła stopy na niskim stoliku. Do pokoju wszedł dziewięcioletni Jeff i usiadł obok niej.

– Pokazać ci, co robię? – zapytał, ustawiając na kolanach laptopa.

Pamiętała, że to brat Julie dał mu swój stary komputer.

– Jasne, że tak. Co tam masz?

– Buduję wieżowce. Widzisz? Między nimi można pływać statkiem albo iść po kładkach.

– Jesteś genialny. Po kim to masz? Może po mnie? Nie, jestem tylko twoją cicią. Jeff, to jest naprawdę super. – Potargała go po ciemnej czuprynie i pocałowała w skroń. – Już jesteś wykąpany?

– Nie. Zobacz, mogą też latać. – Nacisnął kilka klawiszy, poklikał i między wieżowcami pojawiły się samolotki.



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Czytelnia Online](#).